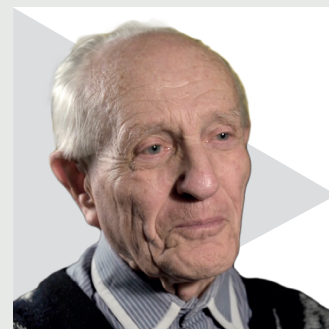




Mieczysław Chojnacki

część VII z VII

Sygnatura notacji: **N0867**
Data urodzenia: **26.03.1924 r.**
Data nagrania: **11.02.2014 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudoł, Maciej Żuczkowski**
Czas nagrania: **cz. I: 49 min, cz. II: 53 min, cz. III: 39, cz. IV: 69, cz. V: 86,**
Format nagrania: **video** **cz. VI: 55, cz. VII: 68**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Tomasz Sudoł: Jak długo był pan w tym obozie?

Mieczysław Chojnacki: W tym obozie nie byłem zbyt długo. Nie, bo to przywieźli nas przecież gdzieś latem, bo było powstanie, początek powstania, to my już tam w tym pierwszym miesiącu byliśmy.

Tomasz Sudoł: Czyli już w sierpniu. A później?

Mieczysław Chojnacki: W sierpniu już mogliśmy tam być, tak. Bo w Zoeście... Aha, w Zoeście byliśmy później. Bo po drodze jak nas trzymali, to dwa dni tam, coś takiego, żeby tam zanotować nasze personalia, czy ktoś nie uciekł czy coś takiego. To był to w Paderbornie ten obóz jeniecki, aż kiedyś w niedzielę słyszemy, orkiestra gra marsze jakie i idzie tą taką główną drogą na przelot, w tym naszym miejscu tego obozu, gdzie są te większe boksy i mniejsze boksy. Cztery i trzy baraki. Byliśmy w tych mniejszych boksach, trzy baraki. Grają marsze, nawet ta orkiestra to można powiedzieć, pięknie grała. To była wojskowa orkiestra z jeńców rosyjskich. I to się zbliżało do nas. Bo na przelot to ta droga prowadziła z jednego krańca w drugi, prosta. W końcu podchodzą do nas i jaką to Polak ma jednak naturę. Ja się tam jakoś tak niedaleko kręciłem, bo tam chciałem na saki wejść, ale ta orkiestra nas zainteresowała i tam się kręciliśmy przy tej bramie, niedaleko, czy oni tutaj koło nas się zatrzymają, ci Moskale. I grali przy sąsiednim baraku, z którym ześmy handlowali tam na pajdkę chleba, jak ktoś nie mógł wytrzymać bez palenia papierosów, to się zbierało pięciu kolegów i jedną taką porcję chleba się handlowało z Rosjanami, to się dostawało tam, jak to mówiło, pięć albo sześć zakurek. To znaczy tam on miał takie naczynko, tamten, i nasypywał tę machorkę, i potem zawijał w jakiś papierek,

i łap. A jemu się rzuciło ten umówiony kawałek chleba. I trzeba było z palcami się jakoś tak dzielić, bo jak chłopak płacze, że nie ma palenia, to trzeba było tam tę kromkę taką małą od siebie odkroić i tam na handel dać. To była jedna rzecz taka, ten handel. I co to ja miałem mówić...

Tomasz Sudół: A ta orkiestra...

Mieczysław Chojnacki: taką dosyć ciekawą rzecz. Aha, na temat tej orkiestry. I ona w końcu przechodzi przed naszym obozem, i na komendę się zatrzymują. I przez ten czas trębacz zaczyna grać pobudkę. To jak ta wiara się rzuciła, to nie wiadomo, kiedy te 460 chłopów tam się znalazło. I wiecie, niektórzy się popłakali. Niemcy to obserwowali tam, byli oficerowie niemieccy, i przy tej orkiestrze tam było dwóch generałów sowieckich. Tam coś z sobą rozmawiali i to. A to wszystko w milczeniu stało i słuchało tej pobudki. I potem oni zaczęli grać taką znaną melodię, „Warszawiankę” zaczęli grać. Bardzo pięknie ta orkiestra grała. Zagrali nam i kto wie, czy nie najdłużej nawet. Nie najdłużej, bo potem jeszcze grali jednego marsza, jeszcze jednego grali i w końcu zasalutowała ta orkiestra tam i odeszli do karnego boksu grać. To taka była uroczystość w jedną niedzielę. Jak się potem okazało, prawie w każdą niedzielę chodzili i grali. Może co drugą niedzielę, bo przecież się szkolili, to był dla nich pokaz pewien. To takie było przyjemne przeżycie. Ale byliśmy też o mały włos, myśmy się pewnego dnia zbuntowali. Bo wzięli nas niby do łaźni, a to się okazało, że chcieli nam wydać dokumenty. Skoro siedzicie tutaj w sowieckim obozie, to chcieli nam wydać dokumenty wojskowych sowieckich. I tam pierwszą taką piątkę czy coś wzięli do baraku, gdzie wypisywali te dokumenty, i chwila minęła, a patrzymy, pięciu pierwszych, co wzięli, wyskakują jak oparzeni i mówią: „Cholera, chłopaki, oni nam chcą książeczki rosyjskie podawać jeńców. O, tak dobrze to nie ma”. To mówi: „Wolimy, żeby nas wystrzelali pierony, a nie weźmiemy tych książeczek”. I bunt się zrobił. Wychodził tam Niemiec, który to nadzorował, i mówi: „Kto następny?”. Wywołał tych pięciu następnych i nikt się nie zgłasza. No i bunt, i co robić? Aż sprawa się oparła o takiego komendanta obozu, starego, z pierwszej wojny pułkownika, wzięli tam delegację. Między innymi do tej delegacji wzięli też tego Cezarego. Tego, co mu tam zakopałem magazynek. I on doskonale mówił po niemiecku. Pamiętam go, on zawsze jakimś takim tłumaczem był i zawsze nam tę kromkę chleba więcej miał, bo to po kryjomu mu tam Niemiec nieraz przyniósł, jak taki był bardziej ludzki. I właśnie ten Buczkowski został wybrany do takiej delegacji, którą miał wartownik zaprowadzić do tego komendanta obozu. I on zdecydował, żeby zostawili nas w spokoju, a on się postara wysłać nas albo do polskiego obozu jeńców, to na to się godzili ci nasi delegaci, albo do roboty, to też. W porządku, to do roboty pójdziemy. Ale tych papierów sowieckich nie przyjęliśmy i sprawa załatwiona. Niedługo trwało i transport się szykuje. I podzielili nas na mniejsze grupy jednak, bo się okazało pewno, że to trochę niebezpiecznie może być. I ja się znalazłem w takiej grupie około 160 osób, którą jedną z pierwszych, no, wywieźli. Wywieźli nas jednego dnia wszystkich, zdaje się, ale już w różne strony. I nas wywołano z nazwisk, zaprowadzono na ten plac taki przed łaźnią, gdzie ta awantura cała się odbyła, i tam zauważyliśmy stertę butów, i: „Wybierajcie swoje buty”. I ja znalazłem swoje buty. Takie typu sowieckiego, ale jeszcze były mocne, dobre buty. I zadowolony z tych butów, i jeszcze co tam takiego, aha, pas. To też jakiś pas znalazłem, nie wiem, czy to był mój, już nie pamiętam. Gdzie to, to taki stos był, że by zajął pół tego pokoju tam na jakąś taką wysokość. Nie wiem, czy tam to jakoś ludzie uczciwie to robili, ale nie było awantur żadnych tam, żeby to coś mówić, że nie jego znalazł, nie swoje. I nas ubrali, i już do tych baraków nie wróciliśmy, tylko był podstawiony transport, poszliśmy pieszo tam do tej stacji, co nas kiedyś boso wysadzili, załadowali nas i niedaleko wieźli do takiej prowincji Lippe. I to się nazywało, ta miejscowość, taka parudziesięciotysięczna,

Zoest. To przy linii kolejowej do Zagłębia Rury było. Jeszcze taka była rolnicza trochę ta prowincja. I tam nas osadzili w czystych barakach. Ale już nie pamiętam, gdzie... Tak, to nie tu było, tylko chyba w tym Zoeście. Też było wyżywienie skąpe. Też było wyżywienie skąpe, bo sobie przypominam, wzięli i sąsiednie baraki czyścili z robactwa. I to czyścili z robactwa przy pomocy siarki, palącej się siarki. I nas kilku wzięli do uprzątnięcia jednej salki. To było tam dwóch Zajęców, ja, może z pięć osób było. I mieliśmy to uprzątnąć tam, te martwe pluskwy zmieść gdzieś tam, takie ognisko rozpalone było, wrzucić to do tego ogniska tam, mieliśmy takie pomoce do drapania tam, wodę gorącą dostaliśmy i ten barak został uprzątnięty. I co ciekawe, wcale tam tak dobrze nie było, bo znajdowaliśmy skórki chleba przesiąknięte tą siarką. To tak znalazł, na pięciu, to znalazł tych skórek tyle, co mógł tak zmieścić. To podzielił nas równo ten kolega i myśmy to pozjadali i nam nic nie było. Skórki takie śmierdzące. Więc dobrze tam nie było. Ale obiecywali, że wezmą nas do pracy. I rzeczywiście któregoś tam dnia zabrali nas do pociągu i jechaliśmy w wagonach normalnych, tylko odizolowanych od niemieckich tych podróżnych. W normalnych wagonach jechaliśmy do miejscowości tej, w której była przesiadka. To było takie dosyć duże miasto, zrujnowane zupełnie przez lotnictwo, Hagen, takie ze 150 tysięcy, ale tam centrum to nic nie stało. Potem je odwiedziłem, to miasto, z kolegą, to rzeczywiście tylko na obrzeżach tam gdzieś chałupy stały. Więc staliśmy na peronie i przechodzili obok młodzi Niemcy, wojskowi. Wojskowi, cała ich taka grupa. Widocznie jacyś urlopnicy, coś, to się nie czepiali nas. Nie czepiali nas, bo z nami jechało kilku Niemców cywilnych. Widocznie tych, co nas chcieli zaangażować. I przywieźli nas do takiego miasta, już tego Hagen, to w tym Hagen tam czekaliśmy na pociąg, który miał jechać na południe. I ten pociąg w kilka godzin dowiózł nas, to się nazywała ta miejscowość koło Zigen... No zapomniałem, gdzie siedziałem w tym obozie. Koło Zigen jakoś kilkanaście kilometrów. To było powiatowe 40-50-tysięczne miasto na północ od niego, bo to był Wurgendorf, się to nazywało, chyba Wurgendorf. To bym musiał zajrzeć, bo już mi się to myli. W tym opowiadaniu Młodzika to jest to opisane. Ale jak nie ma czasu, to nie będę.

Tomasz Sudół: Nie, spokojnie.

Mieczysław Chojnacki: To będzie błąd najwyżej.

Tomasz Sudół: Dobrze, nie ma problemu.

Mieczysław Chojnacki: Bo niestety...

Tomasz Sudół: Nie ma problemu.

Mieczysław Chojnacki: I wtedy, gdy nas przywieźli do tego Wurgendorfu to jeszcze była taka pora gdzieś południowa. I ta miejscowość jeszcze nie była bombardowana i ten Zigen nie było bombardowane, i tam to, tylko to Hagen, to było już Zagłębie Rury, to było zniszczone, to mówiłem. Więc ustawiono nas i chodzili tacy specjaliści tam z fabryki, i segregowali ludzi do prac cięższych i prac lżejszych, bo tam była walcownia blach na gorąco i na zimno. I tam pracowało parę tysięcy ludzi. Więc najcięższa praca to się okazywała przy walcowaniu blach, już zupełnie na gorąco. To tam trzeba było być specjalistą, to dużo tam Francuzów pracowało. Tam płacili już pieniędzmi, tymi markami niemieckimi i lepszym wyżywieniem, bo walce, jak pracowały, te gorące, to tej szerokości arkusz z półtora,

ze dwa metry szeroki, cały w ogniu, wyskakiwał z tych walców i na taką drabinę trzeba było go złapać. I potem tą drabiną tak jakoś tam pod te walce dalej wprowadził on na drugą stronę, i z drugiej strony znów go łapał, i znów tak, i to płonący ten metal. To już musieli być, to przeważnie Francuzi byli i oni musieli być na jakiś kontrakt, dobrowolnie przyjechać, bo tak się słyszało i to musieli być hutnicy. Bo gdzie ja bym to nie złapał i by mnie to poparzyło w cholere przecież. To trzeba było mieć wprawę. I oni tak po kilka razy, i to tam i z powrotem, tam i z powrotem, i od razu, jak odpowiednia ilość walcowania tego przechodziła, to tam z drugiej strony dwóch łapało to takimi obcęgami, odciągało na osobną gromadę i to stygło, traciło ten ogień, ale było gorące. I się zgrzewało. I potem druga ciężka robota to było rozrywanie tego już na zimno. To trzeba było silnych chłopaków, to już tam i nasi też pracowali, bo do tej takiej częściowo wystudzonej blachy podchodziło dwóch i szarpało, i rozrywało to. I dawało na walce, dawało na walce już zimne, które to gładziło, a potem obcinało pod wymiar te ścinki. Więc ja pracowałem przy tej walcówce zimnej, z jednej strony były dwie Ukrainki, które to dłużej pracowały, i one wpuszczały w takie walce zimne, a ja z drugim kolegą tam, już nie pamiętam jakim, to odciągałem, bo to szło po takim stole, mniej więcej tej długości co ten, tylko szerszym, na takich kółkach były w tym, które się obracały, i to sunęło. I to się zbierało z tego stołu, i układało na takiej podstawie, na takim tym, żeby potem dźwig to zabrał. To mniej więcej tonę mogło ważyć czy pół tony, czy ile tam, taka partia przyszła, to się przerabiało te zimne walce. To tam można było parę ton przepuścić w ciągu ośmiu godzin. I raz w tygodniu pracowaliśmy bez przerwy 16 godzin, bo była zmiana pory i potrzeba było nam dać w kość, to ja zostałem tutaj okaleczony, to widać tu, nie? To właśnie tam przy tych walcach, bo sobie przysnąłem, ale to już były bombardowania. To już dalsza rzecz. To fabryka pracowała nieregularnie od pewnego momentu. Od pewnego momentu, jak puścili na fabrykę jedną bombę i ona już pracowała nieregularnie przed tym, brakowało materiału, coś szwankowało, to prądu brakowało, to siedzieliśmy w schronie po parę godzin, były alarmy. Liczyło się samoloty. Kiedyś to naliczyliśmy 1100 i daliśmy spokój. Lecieli na to. I z nimi to nie było zabawy jednak, bo oni po drodze to siali terror, więc gdziekolwiek któryś samolot otrzymywał sygnał od dowódcy, żeby puścić bombę, to w las puścić bombę i już, tylko narobił szumu w okolicy. Zależy jakiej pory dnia czy nocy, albo gdziekolwiek mu się przyśniło, to bombę zwałało, nawet w nocy gdzieś w pobliżu trzepnęła ta bomba, tam kilometr czy dwa kilometry, to ludzie nie spali, a woleli w schronach siedzieć, i o to chodziło. Kosztowało to mało, a terroru było na całym szlaku po pierunie, a tu się setki w nocy samolotów przetaczały do prawdziwego bombardowania. I ta fabryka też, jak tak szwankowała, to starano się nam coś, jakąś inną pracę znaleźć i dano nam przecinkę w lesie. To już była zima i śniegi duże, ale tam zimy są łagodne, tylko bardzo śnieżne. I proszę sobie wyobrazić, w marcu, na początku marca to było już tak ciepło i śniegu nie było, to jak się wiało z roboty po tych różnych bombardowaniach w las, to można było sobie pospać trochę. Tak już było sucho. Gdzieś początek marca, a u nas początek marca to się nie pośpi.

Tomasz Sudół: No nie.

Mieczysław Chojnacki: Jeszcze za zimno. No i na temat tej pracy, tam zginęło... właściwie zginął jeden chłopak, którego maltretowano po drodze. To był, on się nazywał Tadeusz Jakubiak i on był synem poborcy skarbowego w Radzyminie. Był tak podobny do Żyda, że gdzieś tylko nie przyjechali, do jakiego obozu nas przyjmowano, to zawsze mówiono: „O, ten Żyd”. A to był katolik. Czy on miał w sobie żydowską krew, trudno powiedzieć. W każdym bądź razie był wierzącym chrześcijaninem i jego rodzina też. To od razu: „Jude”. I za barak go, musiał spodnie spuszczać i Niemcy musieli obejrzeć, czy obrzezany czy nie. I wtedy dopiero tam nasi szli, Buczkowski szedł, tłum-

czył, że to jest Polak, że on go zna. Ale nie, to trzeba było zobaczyć, że nie jest obrzezany. Więc to takie rasistowskie typowo, paskudne takie podejście do ludzi i takie upokarzające. I on z powodu swojego wyglądu stracił życie, bo nie mógł wytrzymać tego lichego wyżywienia. Można tam było coś ukraść, ale to nie stale, a on się rzucił na to, że szedł do śmietnika i wybierał tam coś, i zjadał. To się mógł pochorować przy tym przecież. Ale tam też i jakoś mu się udało na kuchni coś ukraść, nie wiem, czy bochenek chleba, czy coś, bo go złapał taki gestapowiec, komendant naszego obozu, Szmidt. Takie pospolite nazwisko. I on był w pierwszą wojnę światową na froncie francuskim i tam stracił palec u prawej ręki w jakiś sposób, akurat ten. Tak gdzieś do połowy. I jak się do niego poszło, a miał pretensję, to jak tym knykciem uderzył, to człowiek miał całe sine oko. Więc pobił tego za tę kradzież, tego tam bochenka chleba czy coś, tego Jakubiaka Tadka i potem do niego strzelił parę razy. Ale gdzieś go trafił w kręgosłup, coś takiego, tak że ten chłopak umierał cztery dni i umarł, i go tam pogrzebano. Gdzie? Nie wiem. To mój znajomy był, jednakże tak do klasy jednej chodziliśmy, tylko że to były roczniki dosyć liczne, moje, to były tak: klasa A, klasa B, klasa C.

Tomasz Sudół: A czy coś panu płacono za pracę w tych...

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: Czy coś płacono za pracę w tej hucie?

Mieczysław Chojnacki: Tak, tak. Wtedy płacono, jak się było w fabryce. Płacili coś ponad 150 marek i tam można było za te pieniądze to kupić papier listowy, znaczek, kopertę, ołówki tam czy coś do pisania i napisać list. Można było kupić zapalki, a Niemcy byli chciwi na pieniądze. Jak się już nie pracowało w fabryce, to też płacili tam jakieś pieniądze, ale już liche. Ponieważ ja nie miałem żadnych... ani nikt, żadnych takich możliwości cokolwiek innego kupić, to te pieniądze to dla mnie były bezwartościowe. A dla mojej mamy, która w Sierpcu mieszkała u swojej mamy, staruszki, i u dziadka, też nie było łatwo, to wysyłałem tam. Jak się koledzy dowiedzieli, jeszcze nie była ta część zajęta przez Rosjan, do stycznia, prawda, ta część Płocka, to można było korespondować. I przychodziły od mamy listy, nawiązaliśmy łączność taką i się w końcu zmądrzyli, bo mama zaczęła przysyłać mi dużo kartek chlebowych. A koledzy jak się zwiedzieli, to taki z Wołomina, Hutkiewicz Heniek, on już nie żyje, też akowiec, on takim trochę był znajomym i on posyłał pieniądze. I mama mówiła, że tam można było za to wyżyć trochę lepiej, bo zawsze coś na kartki można było kupić, a jak brakowało pieniędzy i nie było gdzie pracować, to byłoby gorzej. Tak że dzięki temu to tam ja co miesiąc wysyłałem, tam z tych ze 100 marek czy tam ze 120, czy tam ileś. A tak to zostawiałem sobie trochę na piwo. Bo jak szliśmy z lasu, a potem z innej roboty, to inna historia, z pracy po prostu jak się szło, to można było skręcić do pewnej piwiarni i tam... no Niemcy chciwi na pieniądze, każdy fenig, to on się trząsł, chociaż dobrze zarabiał, a my to jak dostał piwa, a mu zostawił dziesięć marek, to on gotów był w rękę pocałować. To oni w jednym miejscu chętnie nas przyjmowali, tam się szło z roboty, tam się we trzech, we czterech wpadło, to on nieraz do tego piwa i tam kromkę chleba podrzucił czymś posmarowaną, tak że było tak lżej. A oprócz tego kradło się, gdzieś się koło płotu przechodziło, jak tam chłopaki nie mieli czym palić, to liście tytoniowe się suszyły albo te korzenie tytoniowe się suszyły, to się tam trochę skubnęło i się im przynosiło do palenia, żeby nie płakali. Więc złodziejstwo nie było naganne. Ja w swoim czasie, jak już do lasu nie jeździliśmy tam wycinać drewno, to pracowałem przy takim gospodarstwie, Cymer się nazywał ten Niemiec, ten gospodarz, syna miał na froncie, i tam piłowaliśmy na takie odcinki świerczynę,

suchą świerczynę. Ale niekótora świerczyna była mokra, to tam się segregowało trochę. Niemka, która przyniosła chleba, to się jej dało suchej świerczyny, a która nie, to taka, jaka leciała. Więc tam się wycwanili taki, ze mną pracował tam jeden, Kardasz się nazywał, to był z wileńskiego chłopak, który się dostał tu w radzymińskim do niewoli, a drugi to był Trzankowski, z Wołomina taki. I myśmy we trzech tam piłowali to drewno. I jednocześnie wyżywienie dostawaliśmy od tego Niemca, bo im płacono za naszą pracę. Ale to Niemcy to są dranie, oszuści i bardzo chciwi, więc dostawał pięć marek za obiad tylko, bo śniadanie tam i kolacja to rzekomo w tym obozie była. To on dawał nam ziemniaków ze dwa kilogramy, takich w mundurkach, takim pojemniku jakimś, garnku, i oprócz tego, po takim, ja wiem, więcej jak szklanka zsiadłego mleka chudego, do tych ziemniaków. To się je obierało ze skóry i zjadało te ziemniaki, popijało tym zsiadłym mlekiem i to był obiad za pięć marek. Tak że korzystali, ale znów z drugiej strony to go się podkradało, bo on jak się uruchomiła maszyna, to ona była w takiej komórce, gdzie stała pszenica. To wtedy były takie kalesony białe, z takimi troczkami, że można było... tak nosili ludzie. Ja jeszcze chyba nie wyrzuciłem. Może tam się gdzieś te kalesony takie poniewierają. To jak tam się weszło tę maszynę uruchomić albo zatrzymać ten motor, to tutaj i parę garści tam, i już jest pszenica, przynosiło się do baraków, to się tym chłopakom, co nie mieli, to dodatkowe wyżywienie tam rozsypywało się, te kalesony rozwiązywało, z jednej nogawicy, z drugiej się wysypywało, oni to brali, podsuszali trochę, butelkę to zrobili śrutę tam i taką mamałygę sobie na wodę wzięli, posolili i już, jest żarcie jakieś.

Tomasz Sudół: A jak długo tam pan pracował?

Mieczysław Chojnacki: Gdzieś od sierpnia w tym Eichen, ale jak fabryka stanęła, to już w fabryce nie, tylko w lesie, albo przy szosach odśnieżanie, albo przy zasypywaniu dołów po bombach, to w kilku miejscach pracowaliśmy. To jak jedną bombę puścili lotnicy w dzień, szliśmy wtedy z lasu, to była jeszcze zimowa pora taka, ale dosyć jeszcze bezśnieżna, to w tym kierunku to cały nieboskłon zabłysnął. Myśliliśmy sobie, psia krew, że się chyba Eichen całe rozleciało. A oni wyróżnili w tę fabrykę i niecelnie. To powstał taki dół, że piętrowy dom taki by się schował w to, aż w tym takim górzystym dosyć terenie, takim coś jak, powiedzmy, Podkarpacie, bo tam były wzniesienia 600-800 metrów i doliny, to jak wyróżnęła, to aż woda gruntowa wyszła. To nas tam trzydziestu zasypywało to chyba z miesiąc. Nie spieszyliśmy się, ale to jednak trwało. To jedna ściana w fabryce była wyrwana. Nie, z jednej strony była wyrwana i z drugiej strony była wyrwana. Dwie hale. To te maszyny były powyrywane z betonu i rzucone na przeciwną stronę. Taka była siła tego pędu, tego ciśnienia powietrza. I w drugiej hali te piece takie, co tam się grzały, i te... to jak to dmuchnęło, a taką gorącą blachę rozrzuciło po hali, to trzeba było uciekać, nie. I to nie trafiła jakieś 30-40 metrów od fabryki, od jednej hali i drugiej, bo gdyby przesunęła się o 30 metrów, to by wyróżnęła w komin i by to wszystko zawaliła tam. Potem, żeby powiedzieć, jak to zadziało, ta siła wybuchu, była piętrowa szkoła, to ta szkoła po tym wybuchu była taka do parteru, a reszta to była rzucona tam gdzieś tą siłą na sąsiednie budynki. I tak w koło. I tak w koło było, i z tą fabryką, i to... No i wtedy było dla nas pełno roboty. I do tego Kreuz stalu nas brali, tam brygady takie poszczególne, to nieraz nieprzyjemne rzeczy były, bo jeden był... jak zbombardowali linię kolejową między Frankfurtem a Hagen, to ona co kilka kilometrów była porwana, i tylko takie drabiny z torów kolejowych sterczały w niebo. To trzeba było uważać, bo tam cięli to, to obwalało się, a my zasypywaliśmy doły. I znaleźliśmy szczątki ludzkie jakieś. Znaleźliśmy stopę urwaną, znaleźliśmy jeszcze coś tam takiego, to już parę dni, pokazaliśmy Niemcom, to kazali to położyć na bok, oni to potem brali gdzieś, może palili to czy coś takiego. A niejednen to mówił, żeby zasypać to i tego. Takie były rozmaite historie. W innym miejscu też nas wezwali, to wyróżnęła mniejsza bomba koło żandarmerii. Dosłownie

w środku ulicy. Też wyrwało dół, też zasypywaliśmy ten dół, to takie były nieraz dosyć ciekawe historie. Najbardziej to zajadli byli Kanadyjczycy. Nie wiadomo co. To znaczy ich lotnictwo. Ich lotnictwo. Jak, psia krew, wziął sobie coś na cel, to musiał trafić. Był gotów krążyć i godzinę czasu, a musiał zrobić to, co... tego. I ich kilku, chyba ze czterech chłopaków, do niewoli wzięli i prowadził Niemiec, a Niemki przechodziły, takie młode, z koszem jabłek. To była jeszcze widocznie pora jakaś z poprzedniego roku, jesienna, z tego roku, co nas tam wzięli, i one chciały tych żołnierzy poczęstować. To oni mało nie napluli im do tego kosza, nie wzięli, nie poczęstował się żaden, a było im głupio, tym Niemkom, jak nie wiem. Byli bardzo zawzięci. Więc to są takie obrazki z tego. To jest...

Tomasz Sudół: A jakaś konspiracja była?

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: Czy jakaś forma konspiracji działała?

Mieczysław Chojnacki: Konspiracja?

Tomasz Sudół: Tak, tam przy tym...

Mieczysław Chojnacki: Opowiadano, ale to mógł być fałsz, bo jak pracowaliśmy w lesie, to ten Zbyszek, ten specjalista od pistoletów i od strzelania do Niemców, podszedł do mnie i mówi: „Wiesz co...”, tutaj ich grupa była bliżej ściany lasu, powyżej nas, a nasza grupa była bardziej w dole i tam układaliśmy sążnie. Pocięte już na pewną odległość. I przy ognisku siedziało dwóch starych dziadków, którzy nas niby pilnowali, 20-30 ludzi. Myśmy się kręcili po tym lesie tam, gdzie trzeba i oni byli zadowoleni, że mogą się grzać przy ognisku, a myśmy tam im suche drzewo przynosili, żeby się grzali dalej. Kiedyś to jakiś dowcipniś im tam taki wystrzelony nabój lotniczy podrzucił do tego ogniska. To trochę huknęło. Oni się wystraszyli. Ale to takie były momenty tylko. I wiedzieliśmy o tym, jakaś wieść głosiła, że w tych okolicach jest oddział partyzancki. I na tym stoku tam, co ten Zbyszek był, podobno wyszło do niego dwóch, on tak tylko spojrzał i od razu pomyślał sobie, że lipa, bo inaczej wygląda partyzant, trochę zbiedzony, a inaczej wygląda podróbka. Jeszcze germańska, bo to kołtuny głupie nieraz są, więc wyszło tam paru też z pistoletami maszynowymi i mówią, że są z partyzantki. To on taki unik zrobił im, po niemiecku odpowiedział, że musi kolegom powiedzieć i się poradzić. I przyszedł do nas, i rozmawiał. I my mówimy: „Nie bądź głupi i nic nie rób”, a oni powiedzieli tak, że nam dadzą broń, żebyśmy tych dziadków zastrzelili. To on poszedł do nich i powiedział: „Skoro jesteście partyzantami, to przecież macie wolną wolę i jak wam przeszkadzają, tych, co się grzeją przy ognisku, to idźcie ich zastrzelić. Przecież nie będziemy ich bronić, bo jesteśmy bezbroni”. To oni się wycofali. To wiadomo, że to była prowokacja. A czy te pogłoski nie były prowokacją, to my nie wiemy. Podobno była, ale to jest znak zapytania.

Tomasz Sudół: I tam pana zastał koniec wojny?

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: Tam pana zastał koniec wojny, w tamtym obozie?

Mieczysław Chojnacki: Tak, tam mnie zastał koniec wojny, tylko jeszcze była jedna taka sprawa, która wywołała nasze podniecenie. Bo tam było duże rozrządowo, ono się wiele kilometrów ciągnęło. Było kilkanaście albo kilkadziesiąt torów, o jakieś dwa kilometry od naszego obozu, gdzieśmy nocowali, bo na nocleg zawsze wracaliśmy do tego obozu. I tam stało kilkadziesiąt pociągów ewakuacyjnych wyładowanych wszelkim dobrem. I tam nie wolno było wychodzić pod karą śmierci, bo rabunek. Czasem się tam pokazał jakiś taki patrol niemiecki, tam jakiegoś takiego, no, powiedzmy, ORMO jak u nas było. A ja zwąchałem się z takim akowcem starym z Wołomina, murarzem. W tej chwili... pamiętałem, zapomniałem, czterdziestolatkiem, który był naszym szefem. I chodziliśmy we trzech do tych wagonów. Jak był nalot nocny, to myśmy zasypywali różne doły. I potem brali nas w lesie, był zwalony przez strumyk most, i był rozbity przez bomby nasyp. Myśmy ten nasyp z powrotem przywracali do użytku, ale wtedy się w nocy wiało, bo lepiej było się wyspać, bo takie stare dziadki nas tam pilnowały, i ja uciekłem z Wytrykusem i tym Karczmarczykiem, tym starszym panem, na te pociągi tam. Ze skarpy zsunęliśmy się i buch, w tę dżunglę tych wagonów, wielokilometrową. Wchodzimy, jedna, druga tam, w kolei, do któregoś wagonu, widzimy, tu taki ewakuacyjny, to w jednym wagonie napiliśmy się dobrego wina, w drugim wagonie znaleźliśmy suchary, to było co wziąć. W innym wagonie znaleźliśmy, rozbiliśmy skrzynię, a tam są te niemieckie karabiny maszynowe, takie coś jak samozariatka rosyjska. Takie szturmowe karabiny oni mieli, na trzydzieści parę naboju zmniejszona amunicja. Magazyn na trzydzieści dwa, i to niosło do tysiąca metrów i to strzelało tak raz, dwa, trzy, raz, dwa trzy. Taki karabin szturmowy. To i u nas Maroszek, jak to takich karabinów narobił, i to znane jest, bo armia polska miała tysiąc na wyposażeniu we wrześniu jako próbę. To był cały metalowy, tylko tam kolba była coś drewniana. A to ten niemiecki był cały metalowy. I myśmy to znaleźli, ale magazynów nie było i amunicji. Matko, jak myśmy we trzech skoczyli, choroba, jak przeklinali, że to... Ale znaleźliśmy noże rzeźnicze. I ponieważ wszyscy mieliśmy buty z cholewami, to ja wziąłem taki nóż rzeźniczy, schowałem sobie, tamci też, i mówimy tak, jak nas tutaj taki patrol najdzie, to ich zaszlachtujemy i koniec, po ciemku. Więc i takie sytuacje były. Jak myśmy chłopakom to powiedzieli, to tam kilka naszych patroli poszło szukać tej amunicji. Pan wie, co by było? 180 chłopaków by od razu poszło, bo tam mieliśmy takie już porozumienie. Ale co, weźmiemy to bez magazynów i pójdziemy straż fabryczną rozbroić? Żeby chociaż jeden, dwa strzelały, to by się tam im nad głowami wystrzeliło i to, i pokazało te puste. Jakiś początek by był. I by była awantura na pewno na trzy fajerki. Ale niestety amunicji nie było, magazynów nie było, to co, szmeln będziemy brać? Więc taka historia była, ale to podniosło nas. To tam tylko Niemcy o tym nie wiedzieli.

Tomasz Sudół: A jak wyglądał koniec wojny, który pan... Jak...

Mieczysław Chojnacki: A jak był koniec wojny, to mieliśmy poszyte, tam było parę Polek, to nam poszyły opaski biało-czerwone, były chyba ze cztery Polki. Jedna była z Płocka, dwie takie jakieś dziewczyniny były. Tam jedna taką była znajomą tego, no, zaznajomili się, tego Cezarego, to poszyły nam te biało-czerwone opaski i się tutaj nosiło, o, tam w bucie, i sprawa załatwiona, i czekaliśmy, aż będzie można je wydobyć. Bo były bombardowania, bo już... Nawet kiedyś wracaliśmy z pracy, to nas moździerze amerykańskie ostrzelały, bo mieliśmy takie kombinezony na sobie robocze, coś przypominające ubiór lotników, taki roboczy ubiór, takie kombinezony, takiego koloru ni to błękitnego, ni to szaro- jakiegoś takiego. I weszliśmy we trzech tych artystów, ten starszy z nami młodszymi. Oni nas zauważyli na łące przy obozie i zaczęli nas grzmocić. To trzeba było uciekać, i to szybko. A oni byli już jakiś kilometr na sąsied-

nich wzgórzach. Widzieliśmy pojedynek artylerii niemieckiej z artylerią amerykańską. Też były takie chwile, bo oni już przekroczyli Ren i szli na północ od Koblencji i tu, w naszą stronę, w stronę Zigen. I później kocioł się zamykał od północy, to szli od południa Amerykanie, a od północy Brytyjczycy zajmowali to, też już gdzieś tam koło Krombachu byli, to nas wtedy już wywozili, żeby nas alianci nie dostali.

Tomasz Sudół: A jak wyglądało pana spotkanie z aliantami?

Mieczysław Chojnacki: Więc z tej wywózki wróciliśmy i po paru dniach, bo się okazało, że jesteśmy w kotle. I się ucieszyli wszyscy, ale oni chcieli nas usunąć w dalszym ciągu. To my, proszę pana, w sześciu uciekliśmy z obozu, i pracując w lesie, znaleźliśmy pieczarę. I uciekliśmy do tej pieczary. Ta pieczara, środkiem jej płynęła woda, więc najpierw spuściliśmy tę wodę, w nocy to było, uciekliśmy, w sześciu lub ośmiu, już nie pamiętam. Takich chłopaków z AK, najstarszy z nas to był taki plutonowy, to był taki urzędnik gminny, wysiedlony z poznańskiego, Rzeźnik miał nazwisko. Bardzo fajny człowiek był. I zdaje się, był ten Kaczmarek też, bo to już tak, to był taki pewnego rodzaju pewny człowiek. I tam jakieś sto kroków, może nie, to był taki korytarz jak gdyby wypłukany przez wodę i zaraz to ściekało do strumienia ze cztery metry poniżej. Myśmy to częściowo odводnili i zaczęli nosić tam takie bale, i zrobiliśmy sobie takie postanie na tych kilku ludzi, w załamaniu, gdzie dalej to już nie można było iść, bo trzeba by było rumowisko pewne usunąć, bo tam dalej jeszcze się ciągnęło. I przy tym rumowisku, prawie na końcu jakby w tym załamaniu, nanieśliśmy zieleni sobie, tego igliwia i położyliśmy się spać. A tam mieliśmy po parę sztuk ziemniaków gotowanych i myśleliśmy sobie, że jakoś przenocujemy albo możemy nawet nie wychodzić stąd i czekać aż się okaże, że coś, jakiś ślad, że Amerykanie może już są. I rano słyszymy jakieś szmery u wejścia, a to trzeba było się pomyśleć w rozum, przecież rdzenna ludność dobrze znała to położenie i mogła tę pieczarę znać. I tam kilku Niemców cywilnych, ale któryś z nich miał pistolet, zaczęli się do tej dobierać i w końcu dwóch z latarką chodzi tu i patrzą, a tu sobie leżą i śpią. Albo udają, że śpią. I Niemiec się pyta kim jesteśmy. No to zaczął z nim rozmawiać i mówi: „Uciekinierzy z fabryki, schroniliśmy się”. A skąd my to znamy miejsce. „No, jak to, tutaj pracowaliśmy, to przecież znamy to miejsce”. To oni zostawili nas i poszli się naradzić. Potem wrócili i mówią: „Wychodźcie. My to zajmiemy”. „A, o to chodzi, to możemy wyjść”. Wyszliśmy, a oni już przyszykowali jednego, który nas miał odprowadzić na posterunek, widocznie wojskowy, bo w tej wsi było jakieś dowództwo jednostki niemieckiej i już jak artyleria pojedynkowała się, i moździerze strzelały, to już Amerykanie byli blisko. Myśmy się nie bardzo bali wtedy i ten Cezary mówi do tego Niemca: „Panie, puść pan nas. Przecież widzi pan, co się dzieje”. A on mówi: „Nie, ja was zaprowadzę na posterunek. Nie uciekajcie”. No i zaprowadził nas do jakiegoś dowództwa, nie wiem, kompanii czy batalionu, bo wyszedł taki młody na jego wezwanie, obejrzał nas. „A wy co? Skąd jesteście?”. „Pracowaliśmy w tej fabryce i się schroniliśmy przed bombardowaniem”. „Aha”. To mówi: „To idźcie, do cholery i nie zwracajcie głowy, gdzie chcecie”. Tak po polsku, ale po niemiecku tam to coś w tym rodzaju było. Bo przychodzą i tam jeszcze może obrugał tego Niemca, że takimi idiotyzmami zwraca mu głowę. To wróciliśmy do swoich. Jak wróciliśmy do swoich, to tam zaczęli się wychylać z baraku ci nasi i mówią: „O, partyzanci wracają”. I tak to jakoś na wesoło minęło. Takie historie były. I zaraz na następny dzień byli Amerykanie. Bo w jaki sposób my się dowiedzieliśmy. Niemcy dosyć pilnowali tego wyjścia, a potem słychać było jakieś strzały artyleryjskie dwustronne. Z jednej i z drugiej strony. I myśleliśmy sobie: „Trzeba wyjść”. Patrzymy, a już tam przy wyjściu już tych dyżurnych Niemców nie ma, tylko się tam pochowali między ludność cywilną. A ponieważ ten Cezary z jakąś Niemką rozmawiał przed tym i zapewniał ją, że Amerykanie to nie ludojady i na pewno ludzi nie będą jedli, więc wyszliśmy, nie ma tej straży. Jak nie ma tej straży, to trzeba... Tutaj tak patrzymy, co tutaj jakiś czołg niemiec-

ki przejechał przez taki wiadukt, odjechał i słycać strzały jak gdyby w przeciwnym kierunku. Gdzieś on w stodołę wjechał i tam jakiś czas prowadził ogień. Więc w krzakach na tym wzgórzu to był schron zrobiony we wzgórzu, na którym było jeszcze parędziesiąt metrów skały zalesionej. Tak że to było nie do rozbicia. Najwyżej wejście, ale były tam trzy wejścia do tego schronu. Więc to nas ciekawiło. Jeszcze trochę się tam obawialiśmy wejść, ale doszliśmy do baraków swoich. Bo nam wolno do baraków dojść. I wtedy obserwowaliśmy, jak czołg niemiecki się wycofał ze swojego stanowiska dalej, bo to było tam trochę wyżej, i słycać było, oho, tam już ktoś powiedział „amerykańska piechota”. A to amerykańska piechota, szła taka czołówka żołnierzy, tam co któryś, to jak wyszliśmy, to już mieliśmy opaski założone, te z butów i wyszliśmy, patrzymy, idzie piechota i jadą samochody, takie łaziki, i się coś z któregoś po polsku odzywają. Tam coś zaczęli rzucać, a my zbieraliśmy, bo tam był tak urządzony ten ruch, oni byli wiele dziesiątków lat przed nami. To była dobrze zagospodarowana okolica. Tam kursowały między miastami autobusy, trolejbusy, pociągi, były nawet w takich zakamarkach tam takie niby asfaltówki po wsiach. Zupełnie to było tak jakby gdzieś podwarszawska jakaś okolica dzisiaj. Więc wyszliśmy na szosę i zaczęliśmy te trakcje ściągać, żeby te samochody łatwiej przejeżdżały, bo dalej pod Krombachem takim, o cztery kilometry toczyła się już potyczka, ale to już cztery kilometry od nas. Działa jeszcze tu niemieckie donosyły. I oni nas zaobserwowali, Niemcy, że uprzętamy to i Amerykanie sobie jadą tam z tymi, od czasu do czasu, Polakami. I spory kawałek tego żeśmy odślonili. I dostaliśmy salwę artyleryjską. To trzeba było w nogi, nie było na co czekać, odeszliśmy stamtąd nieco dalej i tamci po strzelaniu takiej no piechurskiej, raczej z samochodów, przegonili tych Niemców. I tutaj trzeba panu powiedzieć, że mnie chcieli do niewoli wziąć Amerykanie. To już muszę powiedzieć. I, proszę was, już do baraków nie wróciliśmy, tylko poszliśmy na ten Zigen na południe, w stronę, skąd nadchodziły oddziały amerykańskiej piechoty zmotoryzowanej i w ogóle takie oddziały, można powiedzieć, straży przedniej. I dojechaliśmy do takiego miejsca, gdzie było przez te torowiska przejście. Tam, gdzie chodziliśmy sobie na naszą zdobycz, na tak zwany przez Niemców rabunek. I kolumnę Niemców już prowadzili. Chyba ze stu Niemców do niewoli wzięli w tym Krombachu i prawdopodobnie tam zamknęli ten kocioł. I jak ci Niemcy przychodzili, to Cezary pierwszy zaczął pyskować. To dlaczego ja mam mu nie pomóc, też zacząłem na tych Niemców wyzywać tam i to był koniec kolumny. Ja miałem tę opaskę biało-czerwoną na rękawie, ale taki Amerykaniec się zna i jakoś stałem tak blisko, było mu podręcznie, taki młody chłopak szedł z pistoletem, na końcu, Amerykanin, i mówi: „Za dużo gadasz”. I złapał mnie do szeregu tutaj, i do niewoli. I ta wiara nasza zrobiła gwałt, „To Polak”, to to, to owo, a ja zaniemówiłem ze złości i ze strachu, bo jeszcze mnie ze szwabami zamkną do obozu. Ale mnie puścił, mówi: „Uciekaj, psia kość” i już. I na tym się skończyło. Widzi pan, takie rozmaite przejścia. Poszliśmy nieco dalej i patrzymy, a makaroniarze wchodzą do jakiegoś sklepu i wynoszą coś, i jedzą. To jakże taką okazję minąć? Kilometr dalej i nie zajrzeć do tego sklepu? A po drugiej stronie ulicy grupka trzech czy czterech Amerykanów, samochód stoi i przyglądają się tym makaroniarzom, i sobie żartują między sobą, tam coś mówią, jacy ludzie głodni, że sklep rabują. A to z włoskiej armii internowanej byli, co zawarł taki pokój. Odmówił współpracy z Niemcami. Więc weszliśmy tam, to sucharów nabraliśmy i taką pakę, tam było nas ze szczęściu. Potem kompoty, to trzeba było popić te suchary jakoś. To jedliśmy te suchary, tam mąkę gdzieś znaleźliśmy przednią, to przynieśli taki tam z dziesięć kilo czy coś, worek. Aha, mieliśmy wózek taki czterokołowy, gdzieś od Niemców zabraliśmy. I na ten wózek, i już. Ale tam była taka faska marmolady zabrana i te suchary. Myśmy zaczęli zjadać, pożerać te suchary z tą marmoladą. Tośmy prawie ten sagan tej marmolady zjedli i wypiliśmy chyba z puszkę tego kompotu ze słoika, a taki brzuch mi się zrobił i głodny byłem. To ci Amerykanie aż głowami kręcili, jacy to ludzie potrafią głodni być. Myśmy pożarli prawie tam dużą część tego prowiantu, cośmy zdobyli. Więc trzeba było dalej iść. Dalej iść i już wtedy doszliśmy

do takiego miejsca, gdzie nas skierowywali. To były koszary poniemieckie, gdzie grupowano. Tam taki blok: Polacy, tam Sowietci, tam Czesi, tam tacy, tam owacy i zajęliśmy koszary poza Zigen, na takim ładnym miejscu, na takim wzgórzu wśród lasów. I tam już nie byłem w niewoli. Dostałem nawet karabin, byłem w takiej straży obozowej, bo jak to Amerykanów tam paru, a jeszcze mówili, że werwolfy się kręcą po okolicy, to takich tam zebrali ze czterdziestu jak my i dali takie jakieś francuskie karabiny, Lebele, to był prawie taki wysoki jak ja, ten karabin. Takie draństwo mieli Francuzi, nie broń. I amunicji dali tam, i chodziliśmy na warty. Ja byłem w tej zmianie, co taki był Madziar, sierżant Madziar był dowódcą tej zmiany, a oprócz tego jeszcze był taki komendant, też podoficer polski z kampanii wrześniowej. To był komendantem tego. Nas tam było ze trzydziestu, ze czterdziestu i mieliśmy te Lebele i każdy miał ten swój karabin, który zostawiał, jak szedł na nocleg, powiedzmy, służby nie miał. I tam były posterunki przy takim źródle. Szczególnie, które było opodal od wejścia do koszar, gdzie była woda pitna, bardzo dobra. Obawiali się, żeby tam Niemcy nie zatruli tego źródła i tam posterunek stawiali, tam ja byłem takim rozprawiającym, to w tej okolicy tam taką wartę rozprawiałem, jak była nasza zmiana. Ciekawa jest postać tego Madziara, któremu koledzy odstrzelili palec u nogi i też się dostał, i potem kolegowałem się z nim, to był podoficer CKM-ista, który brał udział w kampanii wrześniowej. Pochodził z powiatu węgrowskiego, z miejscowości tej, co taki przed wojną był ksiądz cudotwórca, co jak spojrzał na człowieka, to wiedział, jaką chorobę ma. Studentów tam miał takich z medycyny, którzy tam współpracowali z nim. Był słynny na całe przedwojenne tutaj okolice. Nawet moja mama pieszko kiedyś miała zamiar się wybrać tam na chorobę na serce i tak dalej.